



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5; rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## JUBILEUSZ POETY.

Francya, mimo jej dzisiejszego realizmu, umie jeszcze „czcić świętości swoje“ i stuletnia rocznica urodzin poety, Lamartina, była uroczystości obchodzoną w jego ojczyźnie, jako święto narodowe. Miasto Mâcon, gdzie przyszedł na świat dnia 21 Października 1790 r. wzniosło mu posąg, a przy jego odsłonięciu przemawiające głosy przypominały dzisiejszemu pokoleniu zasługi pisarza i obywatela. Rodził się on wśród burz Wielkiej Rewolucyi; matka wydała go na świat w godzinie boleści i trwogi o życie jego ojca, a umarł dnia 1 marca 1869 roku, ubogi, samotny i zapomniany, w Paryżu, którego gmina dała znękanemu starcowi schronienie miłosierne.

Szlachecka rodzina Lamartinów posiadała w Mâcon obszerny stary pałac, tak zwany „hôtel“ którego tyły wychodziły wązkim dwupiętrowym frontem na ciasną uliczkę i klasztor Urszulanek, i tu urodziło się dziecko: Alfons Marya Ludwik de Lamartine, w komnacie posepnie zacienionej przez mury klasztoru, zamienionego w owym czasie na więzienie dla jeńców Rewolucyi. Ojciec dziecka znajdował się pomiędzy nimi i matka szła o zmierzchu lub świcie dnia na strych, aby przez małe okienko poddasza ukazywać ojcu synka, którego karmiła.

Wszystko naokół było tu smętne, było ponure, prócz godła rodziny: herbu, widniejącego ponad wązkimi, wysokimi drzwiami, wychodzącymi wśród obramienia gotyckiego na uliczkę Urszulanek. Przedstawia on sosnę i dwie gwiazdy powyżej, a to drzewo, zieleniące się nawet wśród lodów i śniegów zimy pod światłami niebieskimi,

to symbol poezyi, która, gdy tkwi w duszy, daje jej wieczną wiosnę, bo wieczne ciepło, a której dar przyniosła urodzonemu tu dziecięciu wieszczka dobra, przewodnicząca godzinie jego urodzin.

Wieszczka dobra, czy zła? zapytać się ktoś może, bo poeta nie był człowiekiem szczęśliwym. Niepraktyczny, rozproszył rozrzutnie wielkie zasoby; majątek i popularność opuścił go: przeciw nazwisko jego pozostanie nazawsze w historii jego ojczyzny, a dzieje życia stanowią tam będą kartę, zajmującą nietylko jego ziomeków. W 1830 r. poeta występuje w całej sławie zdobytej na widowniach świata: dnia 3 Kwietnia Akademia Francuzka czyni go członkiem swoim, do którego gorąco przemawia Cuvier w świetnie brzmiącej mowie przyjęcia. Powtarza się to wkrótce przez taki sam akt Akademii Marsylskiej: poeta Autran, składa hołd uznania autorowi „Medytacyi“ „Harmonii“, zwie go pierwszym poetą francuzkim tej chwili czasu, jak też było niewątpliwie, a zaraz następnie przychodzi podróż jego na Wschód z żoną i dzieckiem. W 1835 roku wychodzi pięć tomów książki: *Souvenirs, impressions, pensées et paysages, pendant un voyage en Orient*, którą czyta cały świat cywilizowany, i która zawiera wysokie piękności: skarby poezyi i myśli szlachetnych człowieka, odczuwającego, nietylko wdzięki natury wśród krajin Wschodu, ale ludzkie potrzeby tych pokoleń, będących szczytkami wielkich narodów upadłych, starych, zagrzebanych cywilizacyi. Wysuwa go to na czoło narodu; mównica parlamentarna staje się dlań miejscem wielkich tryumfów, a jeżeli klaskano mu gorąco, gdy, traktując sprawy Wschodu (1839 r.), przedstawiał cywilizacyjną missyę Francyi — jej posłannictwo wśród narodów, to jego mowa, żądająca od tej Francyi powrotu prochów Napoleona, odebrania ich „z ziemi niewoli“ (26 maja 1840 r.), zostanie na, zawsze sławną w dziejach wymowy francuzkiej, bo można powiedzieć, że wstrząsnęła całym narodem francuzkim dostała się do wnętrza jego

uczuciu szlachetnych i zatargała niemi. Również, choć na innym już polu potrzeb ludzkości i narodu francuzkiego, brzmiał wymownie i z podobnym skutkiem głos jego, gdy bronił przeciw wnioskowi Arago wykształcenia młodzieży w kierunku nauk literackich. To, co mówił o nauce historii, o konieczności odczuwania potrzeb życia, nie przeważnie przez jego dobrobyt materyalny, wzbudziło nietylko entuzjazm chwilowy, ale wycisnęło swój ślad, można powiedzieć: edukacyjny, na kierunek publicznych pojęć narodu. Do sławy jego jako mówcy parlamentarnego i człowieka pojęć liberalnych przyłożyła się ogromnie mowa jego miana w Kwietniu 1846 roku, a żądająca zniesienia podatku od soli, która jest: „główną przysprawą strawy ubogiego“.

Wyrastał coraz wyżej ponad głowy towarzyszy swoich w Izbie, stał się mężem publicznym wielkiego znaczenia, które doszło do kulminacyjnego punktu, gdy w dniach, które nadeszły po rewolucyi lutowej, wystąpił jako szermierz i pełnomocnik rozumnej, zdrowej części narodu, aby zwalić czerwony chorągiew anarchii — party, a natomiast rozwinąć i wzniesić przed oczyma Francyi sztandar ojczyzny — flagę trójkolorową.

Chwila ta, w której zażegnał wielką klęskę narodową, nietylko wyniosła go na czoło narodu, ale otoczyła go aureolą popularności i wdzięczności kraju, dla którego pozostanie nazawsze wśród zdrowych warstw jego ludności mężem wielkiej zasługi obywatelskiej. Paweł Desjardins, literat, chowa po-dziś-dzień, jako cenną pamiątkę po ojcu mu zostawioną, przedmiot trzymany w ręku Lamartina w tym stanowczym dla Francyi momencie, gdy z balkonu ratuszowego przemawiał do wzburzonych fal paryżkiego ludu, kipiącego szaloną żądzą anarchicznych przewrotów. Jest to srebrna, artystycznie grawirowana tabakierka, przedstawiająca na wierzchniej swej stronie scenę polowania; uniesiony, pochwyił ją bezmyślnie w rękę i w zapale tak uderzył nią dwukrotnie

o żelazną poręcz balkonu, że został ślad, jakgdyby dwóch cięć pałasza.

Mylą się też ci, co uważają go za jakąś naturę mglistą i flegmatyczną. Była w nim tęsknota i melancholia poety, gdy zstępował wgląd serca i rozpatrując życie swoje, skarżył się, bo nie było w niem ani odrobiny szczęścia. Czy przecież ogień, zapalający mu się w piersiach wśród wielkich chwil jego istnienia, nie dowodzi, że było to serce czujące gorąco sprawy swego narodu i Ludzkości? W stosunkach życia prywatnych był na nieszczęście niepraktyczny, niedość obliczał środki posiadane, a sprawowanie wielkich urzędów nietylko nie zubożyło go, jak wielu innych, ale przeciwnie: przyłożyło się do zubożenia go, i życie, w miarę jak posuwał się w lata, stawało się coraz smutniejszym i cięższym, bo stracił żonę, tę opiewaną w poezjach jego Elwirę, stracił córkę, dziecko jedyne i pozostał samotny u domowego ogniska, gdy zaś przyszły inne prądy polityczne, inne szkoły w literaturze, zaczęto go lekceważyć i zostawiać na stronie, a zarazem nastąpić musiała i ciężka dlań likwidacja zasobów jego materialnych.

Uczciwym był i nie chciał zostawić na sobie plamy żadnej, ostatnie więc lata życia poświęcił uregulowaniu pieniężnych interesów. Ale trudno jest starości odpracować to, co nierozważnie roztrwonila młodość. Samotnik pracował bez odetchnienia. Napisał *Nową Podróż na Wschód, Nowe zwierzenia*, i cztery powieści: *Genève, Tailleur de pierres de Saint Paul, Antonietta, Fiord d'Alizia*. Dalej przyszło ośm tomów dzieł historycznych: *Histoire des Constituants, Histoire de Turquie*, która jest kompilacją jedynie, *Histoire de la Restauration*; lecz, że tu poruszał sprawy, wśród których żył, które odczuwał żywo, są tu rozdziały pisane silnie, kreslone gorąco, a dzieje *Stu Dni* należą według zdania krytyków francuzkich do najlepszych kart spisanej historii tych czasów.

Dzień i noc siedzi przy stoliku z piórem w ręku, osamotnia się do reszty, pozbywa się stosunków, skazuje się na istnienie maszyny do pisania, redaguje sam jeden, bez żadnych współpracowników, dzienniki, wybory pism politycznych i literackich: *Civilisateur, Conseiller du peuple, Cours familier de littérature*, ale to nie starczy; zdolność do pracy zaczyna słabnąć. Przyszło do tego, że otworzono na niego składkę!..

A teraz przysły, już nie lekceważące krytyki, ale okrutne urągania. Porównywano biednego starca do niewidomego Belizaryusza, którego postać dość długo figurowała na zegarach nadkominkowych z czasów Napoleona. Pozbywano się litości—zapominano, że ten samotnik sędziwy chce odejść ze świata bez plamy. Był całe życie uczciwym; nieogłędność, brak rachunkowości, łatwości, popchnęła go do ruiny. Chciał z niej wyjść, a przytem tkwiła na dnie tego biednego serca reszta dumy szlacheckiej: chciał się utrzymać przy ziemi, aby przekazać ją synowcom, bo chodziło o stare majątki rodzinne: o posiadłość i zamek *Saint Point, Monceaux, Milly*. *Milly* zwłaszcza było to odwieczne gniazdo Lamartinów, i miałeż się oddać w cudze ręce? Ci, którzy ma urągali, nie wiedzieli przecież jednej rzeczy, że Napoleon III-gi chciał mu dać z prywatnej skrzynki swojej dwa miliony franków, których on — nie przyjął!..

Cesarz użył tu za pośrednika jednego z małej już liczby bliższych jego przyjaciół, a raczej znajomych tylko, bo odosabiający się, uciekający od ludzi, zapracowany starzec wyszedł powoli ze stosunków, któreby można zwać węzłami przyjaźni,—magrabiego de la Guéronnière—ale to nic nie pomogło. Przeprosił cesarza, podziękował mu z uczuciem szczerzej wdzięczności, ale dar — odrzucił!..

Przyjął przecież potem na ostatnie schronienie swej starości daną mu przez Paryż małą wille, położoną u wejścia do Lasku Bulońskiego. Był tam mały ogródek — bardzo mały, i Desjardins opisuje jak smutny był widok tego wysokiego, szczupłego, bardzo szczupłego starca, z głową nie dużą, z włosami jak śnieg białym, spoczywającego w postawie prawie leżącej na szeslongu w ciąsnem, do klatki podobnym, bo wkoło żelazną kra-

tą otoczonym, ustroniu. Desjardins był wtedy niedużym chłopcem, ale pamięta, i ma w sercu uczucie żalu, głębokiego politowania, a razem szacunku dla tej spokojnej, cichej starości, której widok silnie go wzruszał niegdyś. Nie widział jego spojrzenia, bo oczy bywały zwykle spuszczone, nie słyszał jego głosu, i tylko zarysowała mu się w pamięci samotna, wyciągnięta w nieruchomem odpoczywaniu po życiu, postać jego delikatna i piękna. Zawezwany przez redakcyę niektórych pism paryzkich, aby z powodu jubileuszu pisał im coś o zmarłym—wydobył na jaw coś ze wspomnień jego przeszłości, odpowiedział, że najlepszą charakterystyką duszy pisarza są w ogóle te dzieje jego myśli, jakie zarażają jego pisma. Zawiadamiają one najlepiej, co czuł, jak pojmował życie, jakie ideały jego stawał sobie przed myślą. Dodał przecież do tych uwag swoich, że znaczącym rysem charakteru Lamartina jest jego zamiłowanie samotności i skazanie się jeszcze przed sędziwością na tą samotność.

Przyszło to nań wraz z nieszczęściami i potęgowało się z wiekiem. Są ludzie, którzy unikają samych siebie, jak woda przepływająca nam przez palce on snadź umiał uchwyścić istotę swoją, żyć się ze sobą. Poeta angielski Wordsworth kochał także samotność, ale przecież nie w tym stopniu, jak Lamartine. Jeszcze młodzieńcem „zawarł on już ślub ze spokojem samotnego przebywania z duszą swoją“; siadał na konia i, jadąc stępą, szeptał poezye, a to zastępowało mu brak towarzysza. Znużyło go już życie wirem swoim, ruchem często do żadnego rzeczywistego celu nie prowadzącym, i wypowiedział to w skardze na świat i ludzi, którzy go z samotności jego wyciągali: „J'ai trop vu, trop senti, trop aimé dans ma vie“.

Potem przecież, gdy począł się skupiać więcej w sobie, odezwał się jak ktoś, który już zrzucił ciężar gniotący mu ramiona: „Mon coeur est en repos, mon ame est en silence“.

Może przecież działo się tak z nim jedynie wtedy, gdy już nie miał nikogo, aby kochać bardzo mocno—gdy odeszli go ci najdrożsi, dla których on był również najdroższym? Wszakże w pięknej jego poezji *Krucyfix* znajduje się taka prośba do Chrystusa:

Niechaj, kiedy śmierć będzie oczy me zawierac,  
Na łonie twojem oddam westchnienie ostatnie...  
Spraw to... niechaj mi oczy zamkną ręce bratnie,  
O Ty! coś umiał umierać...

Jeszcze w pierwszych utworach swoich, w *Hymnie do Chrystusa*, mieszczącym się w zbiorze *Harmonies*, woła:—„Boże! kolebki mojej, bądź mi grobem Bogiem“!..

I śmierć jego nie była też bez Boga — była tą szczęśliwą śmiercią, o którą się ludzie modlą w pacierzu codziennym. Miał obok siebie kochającą go wiernie, jak córka rodzona, synowicę, Walentyne de Lamartine, miał księdza, który mu był przyjacielem, proboszcza kościoła św. Magdaleny, opata Deguerry. W trzy dni potem, gdy oczy samotnika zamknęły się nakoniec, trumna prawie samotna, bez orszaku, bo bez tej pompy pogrzebowej, która ściąga tłumy, przebyła Paryż, obojętny zupełnie dla tego, który odchodził na odpoczynek wiekuisty, bo nie był już tu nikomu potrzebny na nic. Nazajutrz rano o g. 7-iej przybyła do Mâcon. Złożona w kościele św. Wincentego, po cichej mszy żałobnej ruszyła ku miejscu odpoczynku ostatniego, do Saint-Point, bez żadnej wystawności urzędowej, bez orszaku wojska, jakkolwiek był on przecież niegdyś pierwszym urzędnikiem w ojczyźnie swojej i stał na świeczniku Francji, reprezentując ją. I wtedy-to, kiedy nie był jeszcze ubogim, samotnym człowiekiem zostawionym na stronie „jak zóraw na mogił straż“—kiedy miał jeszcze swych ukochanych i kochających, prosił o pomoc serdeczną, o modlitwę i mówił tej córeczce swej małej, która też miała go odejść wkrótce:

Módl się za ojca twego! Niech on godnym będzie  
Widzieć we śnie anioły, białe jak łabędzie,

By miał, jak kadzielnica, serce rozgorzałe.  
Niech tak będzie obmyty czystych ust westchnie-  
[niem  
Z tego, co było życia jego przewinieniem,  
Jak wiodące przed oltarz Pana stopnie białe...

(Dokończenie nastąpi).

## HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg).

Stary Sydor, który dowodził, że pan go bardzo szanuje, zdziwiłby się, gdyby posłyszał, jak dziecko zaraz potem do stodoły poszedł i starego gumienego zagabnął:

— Wszak to parobek od Hubeni za Matwieja dzisiaj tu jest?

— A tak, panie! — odparł stary Huc.

— Nie mogliście znaleźć kogo innego, Kornio? Złodziejska chata! Młody najazy, a stary w nocy ukradnie — jak owe koła na jesieni.

— Nie! — Ten żadnego „kierstwa“ nie zrobi. Spokojny i uczciwy. Zeby innego stryja miał, toby na człowieka wyszedł. W sąsiedztwie — to ja się mu dobrze przypatrzył.

Kalenik opinii swej nie wystawił na szwank.

Pracował pilnie, przy dostawie kartofli, w południe dopatrzył starannie Matwieja pieszczołów.

Potem z innymi do czeładnej na obiad poszedł, ale nie jadł, bo mu nikt z domu dwojaczków nie przyniósł. Patrzył tedy, jak Huce jedli, i trzymał się ich towarzystwa.

Olenia Prytulanka, czekając na opróżnienie garnuszków, opowiedziała mu, że Sydorowa zle się ma, i że już do niej Czyruka sprowadzono.

— Nic z niej nie będzie: umrze! — filozoficznie zdecydował — Będzie znowu koszt, a i desek suchych niema!

Splunął, bo mu głód przejmował wnętrzości. Począł fajkę palić.

— Ożenisz się prędzej, jak baby w chacie nie stanie — rzekł pocieszające Karpina.

— Chyba na jesieni.

Naprzeciw niego wśród drzewek od młócerni dostrzegł teraz białą świteczkę i złotą „kosę“ Łucysia Makuszanki. Śmiała się; błyskały zza świeżych warg zęby jak perły, a zarumienione od mrozu policzki kraśniały jak jabłka dojrzale.

Zpod brwi parobek na nią długo patrzył i znowu splunął.

Przed tygodniem odwoził do Zamoroczenia Szcerbie owe dwa ruble i poznał jego jedynaczkę.

Tęga była, czerwona, silna i zdrowa. Kalenik poznał, że mu ją chętnie dadzą, a z nią dwie krowy, troje owiec i trzy „bodnie“ (skrzynie) odzieży. Mówili już nawet o tem ze stryjem, i projekt był gotów — czekał jesieni.

Teraz splunął ze złości, że Łucysia za cały dostatek miała swój złoty warkocz: ani krow, ani bodni. Dzwon oznajmił koniec obiadu: rzucili się wszyscy do drzwi. W tłoku Łucysia znalazła się tuż przed Kalenikiem. Porwał ją za te uroklive włosy i mocno targnął: syknęła, obejrzała się.

— Boh! — szepnęła, a oczy jej stanęły we łzach.

Przywykły na podobne zaczepki odbierać śmiecu bezczelny lub grube przekleństwo, zawstydzil się Kalenik okropnie łez cichych i tego jednego słowa. Prędko cofnął rękę. Ona wnet mu znikła z oczu.

Wieczorem wracał z Hucami, i znowu ją ujrzał. Szła sama, bardzo prędko, bojąc się zaczepki.

Stanowiła we wsi rzadki wyjątek uczciwości i dobrej sławy. To, w połączeniu z ubóstwem, było powodem, że jej nie lubiły rówieśnice i parobcy.

W chacie zastał Kalenik zupełne rozprzężenie.

Najęta baba warzyła posiłek. Sydor był w karczmie, Kiryk niewiadomo gdzie. Dzieci, skulone na ławie, patrzyły, jak wilczki młode, to na matkę, to na garnek. Chora była nieprzytomna, płachtą przykryta.

Na szarem płótnie pościeli czerniały jej ręce spracowane, do szponów raczej podobne, i czerniała twarz chuda, koścista, otoczona siwiejącymi kudłami.

— Diedyno! (stryjno) — zawołał na nią Kalenik, pochylając się nisko i świecąc sobie lampką.

Spojrzała przecie na niego.

— Co wam? — zagadnął.

— Umieram, Kalenik, umieram! — wyszebrała. — Nie będę już jeść i pić; nie zobaczę bożego słoneczka! — Schowacie mnie do ziemi — do siwej — na Kniazie!

— Chcecie może księdza?

— Chciałabym — ale mu trzeba bochen chleba dać za spowiedź i namitkę białą. A mój chleb w dzieży, a moje namitki niepoprane! Porzuciłam wszystko niepokojone. Kto wam len poprzedzie teraz? Tak ja jego cesała na grzebieniu! — taki urósł cienki i biały!

Zaczęła płakać żałośnie, a on ją uspakajał, jak umiał.

— Cyt, cyt, diedyno! Już wam len nie potrzebny. Pora wam umierać. Schowamy — co robicie!

— Moje sierotki! — zawodziła — kto wam wesele sprawi? Rodziła ja was! i wodziła z płaczem: myślała na weselu się radować. Doloż moja, dolo!

Już ja Wielkanocy nie zobaczę, i Sacharka nie zobaczę. Wieprzaka tak karmiłam — ano, mnie w post schowają. Kalenik, sokołyku, — a patrzaj, nie pożałujcie świty dobrej do trumny — i świec! Toż ja z bractwa!

— Chcecie? dam wam mleka — albo i słoniny! — rzekł wzruszony, gotów do wielkich ofiar.

— Nie chcę, Kalenik, nie chcę. Teraz post! — zaprzeczyła. — Czemu ciebie nie ożenili. Pomarnują się bez baby gęsi i kury, zepsują dzieżę najmitki. Pamiętaj, siemienia lnianego nie zmieniać, bo lepszego we wsi niema, a powiedz Sydorowi, żeby Mokreni i Saka nie bił. Moje sierotki, moje robaczki!

Zmęczyła ją rozmowa: więc umilkła, i tylko po twarzy jej lzy ciągle biegły i biegły.

— Pewnie tej nocy umrze! — pomyślał Kalenik, siadając na ławie, do wieczery.

Ale nie umarła. Żyła jeszcze rano, gdy na robotę odchodził, tylko już nic mówić nie chciała. Sydor pojechał po duchownego. Kalenik cały dzień myślał o deskach i pogrzebie.

Wieczorem wyprzedził Huców i tuż za bramą dworską spotkał Łucysię. I ona wyprzedziła inne.

— Podwiozę ciebie, żeby wilk nie zjadł! — rzekł.

— Poco ma mnie jeść? — odparła, ramionami ruszając.

— Boś bardzo ładna i „strojna“ (zgrabna),

— Albo to prawda?

— Boh me! Żeby ja wilk był, toby ciebie zjadł.

Dziewczyna przyspieszyła kroku.

— Czego tak biegniesz?

— Boję się ciebie.

— Czego?

— Żebyś za włosy nie targał.

— Nie! Nie będę. Boh me, nie będę. Nie biegnij. Ile tobie lat?

— Nie wiem. Matka wie.

— Chodźmy już do ciebie swaty?

— Nie.

— Żeby u ciebie pole było, albo dobytek, tobym ja przyszedł, i tę kosę obciął, i namitką przykrył.

Dziewczyna spojrzała ukradkiem na niego.

— Nie tybys jeden wtedy był!

— A możeby ty mnie wybrała? Powiedz.

— Co ja mam mówić? Ty bohater (bogacz), a ja sierota. Może mnie „spodoba“ kto biedny, to i pójdę — taj kosę dam.

— A żeby ja biedny był?

— Toby ja ciebie polubiła może.

— A jakżeby ty lubiła?

— Ot, takim-bys nie był, jak teraz. Miałbys jak śnieg białą koszulę, i odzienie całe, i tak-bys dwa dni bez obiadu nie przepadał.

— Dobra by ty był! — zamruczał i zamyślił się.

A potem nagle objął ją w pół i do siebie przycisnął.

— A ja-by ciebie lubił mieć. I biłby, żebyś na drugiego spojrzała! — rzekł, dusząc ją w swem niedźwiedzim uścisku.

Nie biła go, ani kłęła, tylko, wyrwawszy się z jego ramion, pobiegła pędem do wsi. Posłyszał, że łkała.

Chciał dopędzić, ale się powstrzymał i zawrócił do chaty. Po twarzy błakał mu się uśmiech, gość rzadki, gość osobliwy.

Wszedł na podwórze i stanął, potem podstąpił, i machylnie czapkę zdjął.

W izbie już trup królował, — na ławie, na honorowym miejscu.

Z domowych nie było nikogo, tylko pod piecem drzemały dwie stare baby, obce, z bractwa, a blisko nich stała butelka z wódką, na pociechę.

Świeca wielka kościelna oświetlała Sydorową. Ubrana była odświętnie i minę miała odświętną, uroczystą i poważną.

Czarne, do szponów czy grabi podobne, ręce odcinały się i teraz ostro, na białej świecie skrzyżowane, beczynne już. Chyboczący płomień świecy mamił, jakby jej wciąż po twarzy drgania się snuły, jakby jeszcze płakała.

Kalenik długą chwilę tak stał i patrzył. Do izby za żadne skarby wejść-by się nie ośmielił, bo bał się trupa.

Potem obejrzał się, która pod ręką Matwieja rosła, i wyszedł na ulicę.

Przed furtką spotkał Kiryka.

— Gdzie diad'ko? — spytał.

— W karczmie.

— A dzieci?

— Ciotka zabrała.

— Dopatrzyliście bydła?

— Ale!

— Napoili?

— Ale!

Uspokojony, Kalenik odszedł. Teraz Kiryk pod okienkiem się zatrzymał i do izby zaglądał.

Może mu żal po matce serce poruszył? Nareszcie zwolna, nieśmiało do drzwi się zbliżył, zegnając się po sto razy. Może jej te czarne ręce chciał ucałować?

Bardzo ostrożnie drzwi uchylił, ale nie na matkę patrząc. Kociemi ruchami zbliżył się do śpiących bab, porwał butelkę z wódką, i pił chciwie, prędko, oglądając się trwożnie. Potem pustą flaszkę na miejscu postawił i, jak przyszedł, tak cicho się wysunął.

Kalenik tymczasem odszukał stryja w karczmie. Pił, i poił sąsiadów, rozprowadając o enotach nieboszczki.

— Macie deski? — spytał go synowiec.

— Niema; jutro deski! Teraz pij! Na, kruczek! (miarka).

Parobek wypił i wyszedł. Noc była gwiazdzista i mroźna. Obejrzał się, namyślając: kogoby o to ostatnie drzewo prosić, gdy w tem Karpina Huc prawie się na niego natknął, prędko biegnąc.

— A co? Umarła wasza baba! — rzekł.

— To nic, że umarła; pora jej przyszła. Ale to bieda, że stary pije za ostatni grosz, a o trumnie nie pomyśli. Desek niema.

— Możeby nasz bat'ko wam dał. Pan mu kopę tarcie darował jesienią. Leżą na strychu.

— Już mnie i srom wam tyle dokuczać.

— Co tam? Nasz bat'ko lichego wam słowa nie rzecze. Spytajcie. Niema czasu czekać.

Poszli razem. Huce wieczerali właśnie, gdy Karpina gościa przyprowadził i interes jego sam opowiedział.

— Matwiej! — rzekł stary. — Cztery deski zrzuć ze strychu, i domowinę zaraz zbijcie.

Potem zpod siwych brwi na parobka spojrzał, i dodał:

— Dwa dni ja nie widział, żeby ty obiad jadł. Olenia, daj jemu łyżkę. Skosztuj, Kalenik, jak pańskie sobaki jedzą!

Parobek zrozumiał wymówkę.

— Ja tak na was nie mówił! — zaprzeczył nieśmiało.

— Nie mówił? No, to, pamiętaj, i nie mów. Bo pies, nie ten, kto uczciwie pracuje, ale ten, kto szczeka.

— Nie mówił ja, i nie powiem! — powtórzył Hubenia.

— Jedz teraz, a potem i zanocuj u nas! — zakończył Huc.

Długo w noc na podwórzu Huców stukwały siekiery. Kalenik na trumnie tej uczył się ciesielki.

Nazajutrz pochowano Sydorową; nie tak jednak jak myślała.

Nie było świec i bractwa, ani chorągwi. Ksiądz na podwórzu ciało przeżegnał i przeprowadził je kroków kilkadziesiąt, do krzyża za wsią.

Tam raz jeszcze odkryto trumnę. Popatrzało raz jeszcze na babę niebo siwe i rzuciło na nią garsć śniegu. Popatrzali na nią po raz ostatni ludzie.

Potem ksiądz zawrócił na plebanią, a pochód ruszył na Kniazie, jak się to uroczyście zwało, gdzie obok grzebano umarłych i przechowywano przez zimę kartofle.

Orszak coraz malał. Sydor wcale się nie zjawił, bo pijany był doszczętnie; Kiryk w szkole przesiadywał, dzieci zostały u ciotki.

Kalenik prowadził woły do sań zaprzężone, na których trumna biała; za trumną szło kilka ciekawych bab, chłop z łopatą i posługacz kościelny, niosąc trochę święconej wody i kropidło z żytnich kłosów.

Baby czasem zawodziły z obowiązku, a Kalenik wołom wymyślał, ilekroć skręciły z drogi.

Gdy stanęli między sosnami, spuszczone trumnę do płytkiego dołu i zarzucono ją bryłami zmarzłej ziemi i śniegiem. W głowach Kalenik mały krzyżyk zatknął; mogiłę przyłożono łaską brzożową i rzucono na nią owych żytnich kłosów wiązanek.

Teraz było po wszystkim. Kalenik z grabarzem, plecami do mogiły zwróceniu, patrzali na kartofle: i radzili czy nie wartoby było nawozem ich przykryć?

— Broń Boże pomarzną — troskał się parobek.

— Pod nawozem zgniją! — twierdził chłop.

Baby już wracały do wsi, więc i mężczyźni na sanie wsiedli i za niemi ruszyli.

— Najlepiej zostawić, jak są. Zima ostra, ale i śniegu niema! — zadecydowali, raz ostatni na kartofle patrząc.

W chacie Hubeni zastali wódkę, kaszę i Sydora.

Przy tym pogrzebowym traktamencie wspomnieli zmarłą.

— Wiadomo, post! Taka pora do umierania! — mówiły baby. — Jak w Pietrówkę (post do Ś-tego Piotra) koszą, a w Spasówkę jabłka dojrzewają — tak w post ludzie mrą! Wiadomo: takie ustanowienie!

Wieczorem dopiero Hubenie złożyli walną naradę.

Chata wróciła do porządku, życie do zwykłej kolei.

Sydor ze zbolalymi nogami stękał i kłął; Kiryk bił siostrę i brata; Kalenik, ponury, dumał.

— Chyba Hannę trzeba odszukać, taj zabrać. Niema rady bez kobiety w chacie! — rzekł.

— Nie chcę twojej Hanny! Kaduk ją bierz! Najmitkę wezmę. Na Trójcę ożenisz się — krzychał Sydor, a potem zajęczał:

— Przepadnijcie, nogi! Bodaj ten białego świtu nie zobaczył, co mi te rany „uczynił“.

— Do dworu idźcie po radę. Pani różę goi.

— Mohe! — Kto tobie mówił?

— Huce. Chcecie? to wam jutro maści przyniosę?

— Ty prosić nie umiesz! Sam pójdę.

Parobek umilkł. Spoglądał po chacie, brudnej, niezamiecionej, w której brak gospodyni widniał w każdym kącie; spoglądał na dziatwę obdartą i chorą, na najmitkę leniwą i niedbałą, i myślał, że jutro Niedziela, a on nawet koszuli czystej nie ma, a do Trójcy tak daleko.

— Kiryk, nie bij Mokreni! — rzekł. Chcesz, żeby matka z mogiły wyszła i nas męczyła po nocach? Porzuć!

— Niech baćka męczy, co ją zabił! — zuchwale odparł chłopiec.

— Milcz, szczenię, bo i tobie tak będzie! — krzyknął Sydor.

— Ino spróbuj! — błyskając oczami, szkolnik warknął. Kalenik wstał z ławy, zapalił smolną drzazgę i wyszedł do komory. Tam swe szmaty pozbiierał, uwinął w płachtę, i wyniósł się cichaczem na ulicę.

Czaił się pod płotami jak złodziej, nareszcie skręcił do chaty przy dworskim zawrocie i wszedł do środka. Dwie samotne kobiety przędyły u komina i ździwiły się, go ujrzawszy. Bogaty Hubenia co za interes mógł mieć do wyrobnic?

Makuszanka była to kobieta już stara, o twarzy jak pieczone jabłko i wielkich, wypłakanych oczach. Mówiła zcicha i powoli. Dobra, spokojna staruszka, która za skarb i dostatek cały — miała tę jedynaczkę. Łucysia siedziała naprzeciw ognia, rozebrana z niezgrabnej świty, z odkrytą głową. Na białej koszuli miała paciorek sznurek i kilka mosiężnych medalików, a złoty warkocz widać było w całej okazałości. Śliczna była, smukła, dorodna, pełna młodości uroku.

Zapłonila się aż po szyję na widok parobka, a on pozdrowił je Bożem imieniem.

— Możeście mi bieliznę poprały! — rzekł — Baba umarła i nawet czystej koszuli nie zostawiła.

Łucysia milczała, a matka jej odparła zcicha: — Zostawcie szmaty. Upierzemy. Ale to mi dziw, że z tem kłopot macie! Toż dziewcząt kopa gotowa wam usłużyć. Pewnie do Wielkanocy wesele u was będzie!

— Będzie, ale nie tutaj — w Zamoroczeniu. Póki co, to u nas wszystko się pomarnuje bez gospodyni.

— Szkoda nieboszczki! — westchnęła Makuszanka — Dzieci małe. Mocno bił Sydor — mocno! Byle mu biedy nie było.

— Ii nie! — Żeby tak na skorym razie zastygła, toby może szukali — ale toć chorował! Pochowali mocno, ale mi strach, żeby nie przyszła w nocy.

— Bożeż mój! — krzyknęła Łucysia.

— Nie przyjdzie! — potrząsnęła głową stara. — Tacy przychodzą, po których bardzo płaczą, bo im te lzy dokucają. Tak-ci mój Michałko do mnie przychodził, nieboraczek.

Na przędkę spadło lez kilka, zatrzęsły się jej wargi, zdrząły powieki. Westchnęła ciężko.

— Synek wasz? — spytał Kalenik.

— Synek maleńki! — Nie widział jego ojciec, bo go też jesieni wzięli do wojska. Hodowałam go jemu na pociechę — jakby wrócił. A ot — i nie dohodowałam, a Todor nie wrócił nigdy!

Dziewięć latek było chłopczynie. Zdrów się chował.

Z roboty raz wracam — od kartofli; Łucysia mnie spotyka i opowiada: — Bawili się na ulicy, aż tu drogą „cudzy“ człowiek jedzie. Ino stanął i popatrzał, a wnet chłopca coś rzuciło: to zimnem, to gorącem trzęsie. Dopadłam do chaty — patrzę: dogasa dziecko jak świeczka, tylko oczkami sinemi łypie, rączkami za gardło się chwyta, jak stary stęka. Nie gasili ognia tej nocy, a nad ranem — jakem go w rękach trzymała, tak się wyprężył i, jak ta „ptaszka“, przepadł.

Mój ty, Boże, — mój ty, Boże — tak moje hodowanie i życie się skończyło! Wzięli i schowali — i jakby Michałka nigdy nie było....

— Dzieci jak muchy zmiarają! — rzekł Kalenik.

— Zmiarają! To pewno! Ale u mnie nie powinny zmiarać! U gospodarzy jak umrze drobina, to im zostaje pole, i woły, i chleb; zostaje mąż

żonie — a mnie co? Te dwoje sierotek to moje pole było, i woły, i chleb, i mąż! Jakby wam, Kalenik, to gwałtem zabrali, cobyście rzekli na krzywdę taką krwawą?

A jaż baba, wdowa, sierota! Ja nie kłęłam, i nie gwałtowałam. Ot tylko z tego żalu ni miejsca sobie znaleźć nie mogłam, ni żadnego pocieszenia.

„Słozy“ — moje skargi były, i prośby i podania; słozy jadłam i piłam, słozami drogę znaczyłam.

Mówili mi ludzie mądrzy: — „Nie płacz; dziecku spokój daj“. Ale ja głupia byłam, aż wreszcie on sam przyszedł — przyszedł pewnego wieczora, kiedym sama pociemku w chacie siedziała u komina — ot, jak teraz.

Przyszła detyna moja biedna pod okienko — i w szybkę zastukał.

Na dworze miesiąc stał, a ja patrzę. Tę-ci świteczkę białą miał, i czapeczkę rogatą, i taki biały, przezręczysty, zastukał w szybkę, a ja zmartwiałam; ni głosu dobyć, ni ruchu uczynić!

— Maty! — woła cichutko.

— Słucham, i słucham.

Znowu szybka dzwoni — rączkę jego widzę.

— Maty, otwórz! — prosi.

Boże mój, Boże. Jakże ja mu chatę otworzę, kiedy on nie mój już — nie mój!

A tu szybka trzeci raz dzwoni, i trzeci raz detyna szepce:

— Maty — otwórz!

Nie otworzę, synku, nie otworzę. Z chaty wyszedł jako twój baćko do armii, żeby się nie wrócić. Ubrałam ciebie jak na gody, usłałam ci miękko, dali ci chatę i ziemi dali. Chyba ja do ciebie pójdę, ale ty do mnie. Naskrosz ziemi posłyszaleś mnie, i przybiegłeś! Łzami cię ruszyłam od twego teraźniejszego dziedziectwa!

Ja wiem, że prosisz, bym ci niebo otwarła, bym cię żalem nie ściągala do siebie!

Słucham, i patrzę, i tak myślę, a ta detyna za oknem, co zrazu smutny był, teraz się uśmiecha i główkę kłoni... Więcem na ziemię runęła, i poprzysięgam go nie zatrzymywać.

A szybka milczy, a za szybką — tylko miesiąc biały. Ni głosu nie słyszę, ni Michałka nie widać! Już odszedł w swoją drogę — na swoje Kniaziel..

Kalenik nieproszony na ławie usiadł, i słuchał, na Łucysię spoglądając. Ona przestała prząść, i jedną z jego koszul podartych latać poczęła, słowa nie mówiąc.

Spokój i czystość tej ubogiej chaty odbijała jaskrawo od jego własnej izby: nie chciało mu się odchodzić.

— Czemu to „kniazie“ nazywają? — zagadnął, gdy stara umilkła.

— A ot — bo kto tam pójdzie, to już kniaz; leży i śpi, a każdy przed nim głowę odkrywał! Kniazie oni — kniazie!

Otarła lzy fartuchem, i gwałtem odpędzała smutne myśli.

— A Sacharko wasz prędko wróci? — spytała.

— Przysyłał pismo niedawno, że może na wiosnę dobry numer wyciągnie. Jak nie, to chyba na przyszłą jesień przyjdzie.

— Pohodował ty ich wszystkich Kalenik. Pamiętam jakeś taki niewielki już orał i kosił, a teraz takiś piękny i wielki wyrósł! Ile tobie lat?

— Izmat! (dużo). Wnuków już się nie doczekam. — odparł z lekkim uśmiechem.

— Czemu? Sto lat żyć możesz.

— Sto lat?! Żeby z torbą chodzić! Boże broń! Albo to mnie dzieci darmo karmić będą! Wygonią z chaty.

— Różne bywają dzieci. Mnie Łucysia nie wygoni.

— Żebym ja matkę miał, żebym miał! Siedziałyby do śmierci przy piecu, i kaszą bym ją karmił. Porzuciła mnie maleńkim. Żeby jej to Bóg darował! Silna była, zdrowa, robocza. Na śmierć jednakże i Czyruk nie poradzi.

Kogut, zamknięty pod piecem, załopotał skrzydłami i zapał przeraźliwie. Parobek wstał opieszale.

— Pierwsze kury! — mruknął. Zasiadziałem się bez miary. Ostańcie zdrowe!

— Szczęśliwie! — odparły obie.

Wyszedł. Noc była czarna jak smoła. Na progu swej chaty spotkał żyda arendarza z workiem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Obfity plon artystyczny przynosimy dzisiaj czytelnikom naszym; wprawdzie z obrachunkiem jego spóźniliśmy się nieco, jesteście nawet w obawie co rzeknie sympatyczna „Lutnia“, iż wrażenia wyniesione z jej koncertu wywołujemy tak spóźnionem, a zatem i słabszem, echem, lecz otuchy nam dodaje myśl, że te wrażenia miłe jeszcze nie całkiem przebrzmiały.

Pierwszy to był koncert „Lutni“ w tym sezonie, urozmaicony współudziałem panny Stefanii Łosakiewicz, młodej fortepianistki, i panny Anny Osuchowskiej śpiewaczki, również młodej i również obdarzonej iskrą prawdziwego talentu. „Lutnia“ rozpoczęła bogaty swój program ulubionem „Hasłem“ którego sam text wymowny zespala słuchaczy z dziarską śpiewaczą drużyną. Potem usłyszeliśmy cały szereg kompozycji już-to dawniej znanych już-to nowych, a wykonanie wszystkich dowiodło pracy postępowej, artystycznej, coraz większą bowiem jednolitością, precyzją i cieniowaniem odznacza się Lutnia, tłumiąc w sobie zachcianki pojedynczych, żądnych popisu jednostek. Spodziewamy się, że kiedyś zupełne zniewellowanie tych zachcianek, pozwoli osiągnąć Lutni szczytu doskonałości pod dzielną batutą jej kierownika. Z nowych utworów zainteresowały bardzo pieśni ludowe, z których część opracował pan Maszyński, jedną p. A. Brühl, oraz pieśń: „Za moich młodych lat“ Eugeniusza Pankiewicza. Ten ostatni utwór, o dużych zasobach wiedzy i bogactwie technicznych środków młodego kompozytora, zdradza przeciw niedostateczne wtajemniczenie się w warunki, na których polega efekt zbiorowego śpiewu. Głosy, w ciągłym będąc ruchu wskutek nadużycia polifonii, na podstawie akkompaniamentu nieopartej, brzmiały niedość pełno, kojarząc się i rozchodząc w sposób zanadto sztuczny, męczący dla słuchu. Cudny Prélude Szopena „Sen“, Pergolesego „Nina“, Moniuszki „Już Matka zasnęła“ perełkami były w programie „Lutni.“ Panna Łosakiewiczówna; która tego wieczora pierwszy raz dała się słyszeć przed licznem audytorjum, jest znowu jedną z wielu uczennic pana Szlöttera, które temu profesorowi zaszczyt przynoszą. Duża technika, werwa i pewne samodzielne a trafne traktowanie kompozycji zjednały wirtuozce szczerze oklaski. Liszt (Rapsodia IV) Szopen (Scherzo H moll) Schumann (In der Nacht) dostarczyli pięknego pola popisu; nad program ślicznie był odegrany „Menuet“ Grünfelda.

Panna Osuchowska, była uczennica Artôt i pani Reszke, obecnie p. Trombiniego, wykazała piękny, o pełnych niskich tonach mezzo - sopran w śpiewie, w którym czucie i wrodzony temperament artystyczny idą w parze z nadzwyczaj dobrą szkołą. Owa dobra szkoła, rzecz można, wyróżnia pannę Osuchowską spośród wielu młodych koryfuszek sztuki. Wybornie postawiony głos, wymowa jasna, atakowanie dźwięków szlachetne i naturalne, technika duża, — są to zalety, które się nieczęsto spotyka; może jeszcze brak ogólnego umuzykalnienia dostrzeżę się w chwytliwości rytmiki i frazowaniu zamało wykończonem, ale przy dobrych danych, któreśmy poprzednio wymienili i wrodzonym darze niewątpliwie młoda wirtuozka szybko te braki uzupełni. W każdym razie debiut na koncercie „Lutni“ bardzo świetnie wypadł. Najpiękniej wykonana były: aria z opery „Królowa Saby“ Gounoda i „Wędrowiec“ Schuberta. Co do zamierzonych scenicznych występów panny Osuchowskiej, nie możemy z góry

orzekać, gdyż warunki sceniczne zanadto odmienne są od estradowych.

Następny zaraz koncert, jaki mamy do zanotowania, był pełen różnorodnych wrażeń. Dnia 26 Października pan Józef Chodakowski, zasłużony artysta naszej opery, zęgał publiczność swoją, która serdecznym przyjęciem składała dowód, iż zawsze mu była życzliwą. Wzruszenie dawało się uczuć w śpiewie koncertanta, zwłaszcza kiedy przemawiał dźwiękami muzyki Moniuszki, którą tak doskonale pojmuje.

Na bogaty program złożyło się liczne grono artystów, śpiesząc z koleżeńską usługą swego talentu. „Lutnia“ rozpoczęła koncert „Hasłem“, dając następnie „Pożegnanie lasu“ Klauera i dwie piosenki węgierskie Nagyego. Po arii z „Verbum nobile“ Moniuszki, odśpiewanej przez koncertanta, perliste dźwięki fortepianu posypały się spod palców panny A. Rejchman, darząc słuchaczy „Barcarollą“ Moszkowskiego i „Sonatą“ Rubinsteina. Pan Myszuga bardzo ładnie odśpiewał „Dwie zorze“ Moniuszki i „Jej medalion“ Kratzera. Potem milutka deklamacja panny Czaki dała wytchnąć muzyce, która tem efektowniej rozbrzmiała w Tercecie z opery „Carlo il Temerario“, Rossiniego, odśpiewanym artystycznie przez pp. Chodakowskiego, Myszugę i Jeromina. Początek drugiej części programu znowu należał do „Lutni“ a wie ona czem publiczności dogodzić: to też oklaskiwano Marzenie Szopena i „Znaszli ten kraj“ Moniuszki. I znów Szopen (Mazurek) i Moniuszko (Wiosna i Dumka) znaleźli oddźwięk w sympatycznym zawsze i inteligentnym śpiewie panny Józefy Szlezygier, która podobno jest również w przededniu swojego wyjazdu z Warszawy i wkrótce również ją pożegna koncertem, udając się w inne strony! Powróćmy do koncertu pana Chodakowskiego. Po iskrach wesołości, jakimi p. Szymanowski rozjaśnił na chwilę ten chmurny poranek, usłyszeliśmy jeszcze przepyszną arię z op. „Gwiazda północy“ Meyerbeera, którą pięknie wykonał p. Jeromin, następnie duet z opery „Wesele Figara“ Mozarta, odśpiewany przez pannę Szlezygier i koncertanta, oraz trzy pieśni: „Dumka“ Niedzielskiego, „Dudarz“ Maszyńskiego i „Krakowiak“ Moniuszki, którymi obdarzył nas koncertant. Wśród gorących oklasków publiczności, które świadczyły o szczerem uznaniu, koledzy wręczyli panu Chodakowskiemu wieniec zasługi.

Dnia 7-go Listopada odbył się w Salach Redutowych drugi Symfoniczny koncert dyrekcji teatrów, lecz *en petit comité*, złożonym jedynie prawie z garstki artystów. Publiczność zawiodła tym razem nasze poglądy optymistyczne i nie zdobyła się na poświęcenie wieczoru muzyce poważnej, kierując się widocznie zdaniem, iż dobrego nie należy nadużywać. Wprawdzie, program nie wabił żadnym zagranicznym imieniem, a okrasą koncertu była tylko tutejsza młoda pianistka panna Marya Wąsowska, którą już w przeszłym sezonie parę razy słyszano w Towarzystwie Muzycznym. A jednak dopiero teraz można było jej grę należycie ocenić, przy wykonaniu dzieł wyższego nastroju. Program panny Wąsowskiej składał się z koncertu Rubinsteina G moll z towarzyszeniem orkiestry, z Rapsody Liszta, Toccaty Paderevskiego i Nokturnu Szopena. W bezstronnym sądzie winniśmy złożyć hołd niepospolitej technice, mężkiej sile i werwie, ale zarazem nadmienić, że strona uczuciowa, jeszcze słabo rozwinięta, przeszkadza wirtuozce do wydobywania na jaw wielu duchowych piękności kompozycji, utajonych częstokroć w kilku melodyjnych frazach, które panna Wąsowska niedość idealnie i poetycznie traktuje.

Orkiestralną część programu zajęła przede wszystkim Symfonia Brahmsa. Jest to dzieło oparte na świetnych efektach harmonijnych i instrumentalnych, lecz w którego rwące się idee niepodobna się wczuwać, niepodobna wysnuć jednej całkowitej nici motywu, jasnej, przewodniej i prawdziwie natchnionej. Symfonia — to rama szerokie do wielkiego obrazu, w które nie można wstawiać obrazków miniaturowych, chociażby te z największą finezyą i sztuką były wykończone. Przytem od każdego większego dzieła, wymagamy wrażenia jednolitej artystycznej

całości; jeżeli myśl zmuszoną jest śledzić szczególne drobne, widocznie, iż główne rysy nie są dość imponującymi, by mogły porwać i przykuć do siebie uwagę.

Po nużącym wysłuchaniu tej symfonii tem bardziej ożywcze wrażenia czerpało się z utworu Saint-Saënsa zatytułowanego „Suite algérienne“. Nad wyraz to oryginalne, poetyczne, w przejrystą a błyskotliwą instrumentacją ujęte pasmo tematów świeżych i typowych. Prześliczny jest zwłaszcza, pierwszy numer Suity, Prélude, pełen głębokiej poezji, która graniczy z extazą, i drugi: Rapsodya, bogaty w gorące motywy orientalnej barwy. Nawiasem mówiąc, te dwa ustępy orkiestra wykończyła i odcieniowała *con amore*.

Usłyszeliśmy także bardzo ładne melodie elegijne Griega: „Herzwunden“ i „Frühling“ mniej bogate pod względem opracowania technicznego, lecz z serca płynące, tęsknotą i melancholią owiane pieśni. Tak utwór Griega jakoteż Symfonię i Suitę poraz pierwszy u nas wykonano.

Konserwatorium rozpoczęło już szereg swych wieczorów muzyki kameralnej, na początek darząc licznie zgromadzonych słuchaczy Kwartetem Haydna D dur op. 76, Triem Rubinsteina G moll i Kwartetem Beethovena C dur op. 59.

Pierwsze z tych dzieł należy do rzędu owych artystycznych cacek stylowych, które noszą na sobie charakter epoki pełen dobrego smaku i wykwinutu. Beethoven, potężniejszy, sokolim wzrokiem ogarniający szerokie widnokregi, w kwartecie swoim dominuje, nie już słodkim wdziękiem i finezyą, ale śmiałością rzuty myśli, które też we wspanialszą i poważniejszą obleka szatę. Czuć tu geniusz, który stary klasyczny świat jednoczy z jutrznią romantyzmu, walcząc o śmielsze formy i wszechstronniejsze idee. Rubinstein, kompozytor nowożytny, jest jednym z owych uprzywilejowanych, którzy swój oryginalny odrębny typ w każdym dziele utrzymać umieją. Jest to przedewszystkiem melodysta, który się lubuje w harmonizacji pięknej, niekroczącej sztucznymi drogami kontrpunktu. Czwartą część jego Triu jest najdoskonalszem wypowiedzeniem swego ja; rozwija się ona swobodnie na podstawie bardzo szczęśliwego tematu.

Wykonanie zbiorowe podjęli pp. Barcewicz, Alois, Stiller i dzielny fortepianista p. Brykner. Niema co mówić, iż było ono wzorowem i wspaniałem.

Towarzystwo Muzyczne uświetniło trzeci większy swój wieczór występem pana Konstantego Gawryłowa, artysty skrzypka. Rzeczywiście miano artysty słusznie mu się należy. Ongi wiedzieliśmy o nim jako o najlepszym z uczniów Wł. Górskiego; obecnie przedstawił się już nam jako skończony wirtuoz, który swe lata studyów pięknie wyzyskał. Wielka technika, brawura, jasność tonu, stoją obok trafnego pojęcia kompozycji i uczucia bez affektacyi. Pan Gawryłow odegrał koncert Ernsta Fis moll, Canzonettę Godarda, Motto perpetuo Riesa i Taniec węgierski Brahmsa. Część wokalną wypełniła panna Osuchowska, doznając bardzo sympatycznego przyjęcia. Z muzyki zbiorowej, oprócz kwartetu smyczkowego Mendelssohna D dur, usłyszeliśmy „Mélodies Rntheniennes“ Noskowskiego, z właściwą temu kompozytorowi subtelnością opracowane a niezmiernie świeże i mile wpadające w ucho.

Mniejszy wieczór Towarzystwa, d. 12 Listopada urządzony staraniem p. Jana Kleczyńskiego, posłużył za pole popisu młodziutkiej pianistce pannie Dawidson, w której znowu powitano rzeczywisty talent, ładną wróżący przyszłość. Jest to uczennica jeszcze, ale professor jej, p. Kleczyński, miał prawo nią się poszczycić. Wykonanie koncertu Mozarta D moll z towarzyszeniem orkiestry, Preludium i Fugi Bacha, Impromptu B dur Szuberta i Rapsody Liszta, wykazało duże już zasoby techniki, czystość gry i miłe uderzenie, a nawet sporo wrodzonego temperamentu i czucia. Śpiew solowy przypadł w udziale pannie Zapalkiewicz, równie jak i p. Jerominowi, obojgu jednając serdeczne, przeciągłe oklaski. Chór Towarzystwa rozpoczął wieczór pięknymi pieśniami z „Witoloraudy“ Moniuszki, w opracowaniu Noskowskiego, a w urozmaiconym programie

znalazła miejsce i deklamacja, którą podjął p. Zejdowski. Organizatorowi starannego ze wszęch miar koncertu należy się rzetelna podzięka.

Juljusz Stattler.

## Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Koch i suchoty płucne. — Pożar kopalni węgla kamiennych. — Odkrycie Buss'go. — Ferrosilicium i ferroaluminium. — Sny u ślepych.

*A tout seigneur tout honneur!*

Niepodobna dziś rozpocząć od czego innego kroniki naszej, jak od... Kocha. On dziś jest bowiem owym *seigneur'em*, przed którym wszyscy schylamy głowy.

Według sprawozdania Kocha, zamieszczonego w 46 numerze „Deutsche Medizinische Wochenschrift“ środek jego jest płynem brunatnym, przezroczystym, dającym się w łatwy sposób konserwować. Zażyty wewnątrz, nie działa. W celu osiągnięcia skutku należy go zastrzyknąć pod skórę za pośrednictwem odpowiedniej strzykawki, podobnej do tej, jaką posługujemy się przy stosowaniu podskórnym roztworu morfiny. Najwłaściwszem miejscem do zastrzykiwania okazał się grzbiet. Środek kochowski działa daleko potężniej na człowieka, niż na zwierzęta, używane do doświadczeń. Wprowadzony pod skórę człowiekowi zdrowemu w ilości 0.25 centymetra sześciennego, jako to Koch robił na sobie samym, sprowadzał następujące objawy: po 3 lub 4 godzinach objawiała się ogólna ociężałość w członkach, osłabienie, skłonność do kaszlu, utrudniony oddech, a w piątej godzinie następowały gwałtowne dreszcze, trwające około całej godziny; jednocześnie objawiała się nudności, wymioty a ciepłota ciała podnosiła się do 39.6 stopni. Po upływie 12 godzin wszystkie te dolegliwości ustępowały, pozostawała tylko przez parę dni ociężałość, a miejsce zastrzyknięcia również długo było zaczerwienione i bolesne.

Środek Kocha ma działać *wybitnie na wszelkiego rodzaju processy gruźlicze*, przede wszystkim zaś na t. z. *wilka (lupus)* a dalej w chorobach gruźliczych kości i stawów. Nie działa on podobno na laseczniki suchotnicze, lecz na chorą tkankę: zmienia ją w strup, który częstokroć odpada już po jednym zastrzyknięciu, pozostawiając po sobie gładką bliznę.

Koch sądzi, że środek jego, ponieważ wywołuje znacznie silniejszą reakcją u chorych, niż u zdrowych, będzie mógł służyć do rozpoznawania rozpoczynających się suchot płuc, t. j. nawet wówczas, kiedy jeszcze nie udaje się określić natury choroby po odnalezieniu laseczników i włókien sprężystych, lub przez badanie chorych za pomocą opukiwania i wysłuchiwanie.

A teraz co do suchot płucnych, to Koch utrzymuje, że chorzy w samych początkach poddani leczeniu jego metodą po czterech do sześciu tygodni przychodzili zupełnie do zdrowia. Suchotnicy zaś, posiadający w płucach bardzo liczne i obszerne kawerny, pozostałe po zniszczonej tkance, doznawali jedynie subiektywnej poprawy.

Wreszcie dochodzi p. Koch do wniosku, że rozpoczynające się suchoty za pośrednictwem jego środka mogą być radykalnie wyleczone, a częściowo powiedzieć to można i o ludziach z niezbyt daleko posuniętą chorobą. Leczenie jednakże powinno być prowadzone pod ścisłą kontrolą lekarza, a prócz tego nie należy zaniedbywać dotychczasowych sposobów leczenia jak: odpowiedniego odżywiania, powietrza górskiego i t. d. Co do gruźlicy mózgu, krtani, i t. z. suchot galopują-

cych, jeszcze nie stanowczego autor powie- dzieć nie może, z powodu braku dostatecznego materiału.

W zakończeniu zachęca Koch gorąco, aby lekarze jaknajstaranniej badali płwocinę, a w razie znalezienia laseczników przedsięwzięli jego sposób leczenia.

Wszystkie znakomitości niemieckie, takie, jak Nothnagel, Billroth, Bergman, Leyden, oddają gorące pochwały środkowi odkrytemu przez Kocha. Ma on stanowić epokę w nauce, podobnie jak odkrycie Jennera szczepienia ospy i Listera opatrunku przeciwnielego.

Nie omieszkamy powrócić raz jeszcze do tego przedmiotu, a teraz wypada przyjrzyć się czarodziejowi, który tylu cudów ma dokonać.

Koch przyszedł na świat w górach Harzu, w miejscinie Clausthal, w roku 1843, liczy zatem obecnie 47-y rok życia. Po ukończeniu wydziału lekarskiego w Getyndze osiedlił się w małym miasteczku w Hanowerskiem i zaraz oddał się z zapałem badaniom mikroskopowym, które wydały niedługo obfite plony. Z Hanowerskiego przenosi się Koch wkrótce na Szlązk, potem w Poznańskie, nasamprzód do Rakoniewic a następnie do Wolsztyna, miejsciny posiadającej niecałe trzy tysiące mieszkańców, gdzie przemieszkuje do roku 1880.

Expertyza pewnego rozgłośnego procesu pozwala w nim poznać doświadczonego bakteriologa, skutkiem czego mianują go członkiem komisji sanitarnej w Berlinie.

W tym-to czasie dokonał Koch odkrycia laseczka suchotniczego, który mu zjednał sławę uczonego w całym świecie.

W roku 1883 wysłał rząd niemiecki Kocha do Egiptu dla studyów nad cholera. Owocem tej podróży było odkrycie t. z. bacillusu przecinkowego (cholerycznego), za co uczony otrzymuje tytuł radcy tajnego i dotacją wynoszącą 100.000 marek, a wkrótce potem zostaje mianowany dyrektorem instytutu higienicznego w Berlinie.

Od owej chwili, przez przeciąg prawie dziesięcioletni, studyje Koch suchoty płucne i, jak dziś zapewniamy, osiągnął cel zamierzony t. j. wynalazł środek przeciwko tej strasznej chorobie.

Miliony nieszczęśliwych wyciągają dziś błagalnie ramiona w stronę pracowni niemieckiego uczonego. Strach pomyśleć o zawodzie. Miejmy nadzieję dla nich i wraz z nimi!

\*

\*

\*

Z powodu pożaru w kopalniach węgla w Zagórze pod Bendzinem wypada w tem miejscu słów kilka powiedzieć o przyczynach podobnych katastrof.

Exploatacja węgla kamiennego odbywa się dwojakim sposobem: francuzkim i t. z. rabunkowym. Ten ostatni polega na tem, iż w pustych przestrzeniach, powstałych po wydobyciu węgla, wyrwa się podpory, skutkiem czego węgiel zawala się w kolosalnych massach i temsamem dobywanie go zostaje o wiele ułatwionem. Jak widzimy, jest to sposób przystępny, ale jednocześnie niebezpieczny, albowiem skutkiem powstawania, przy zawalaniu się, wielkiej ilości miazgi węglowej, grozi zawsze wybuchem pożaru.

Węgiel miazki, jak zresztą wszelkiego rodzaju ciała dziurkowate, posiada w wysokim stopniu własność chłonięcia gazów, skutkiem czego następuje ich zgęszczenie, któremu towarzyszy zawsze podwyższenie temperatury, niekiedy tak dalece nawet, że węgiel może się samoistnie zapalić. Jedynie tą własnością wchłaniania gazów można objaśnić sobie, że niekiedy węgiel nawet w małych ilościach, leżąc w piwnicy, zapala się i żarzy.

Prócz tego węgiel zawiera w sobie zawsze pewną ilość siarku żelaza, który, zetknawszy się z tlenem powietrza w przystępie wilgoci, utlenia się, a więc przechodzi w siarczan żelaza. Procesowi temu towarzyszy także znaczne podwyższenie temperatury, co stanowić może również przyczynę zapalenia się węgla.

Przyczyny te doskonale są znane inżynierom, i dlatego też dokładają wszelkich starań, aby z kopalni usuwać miazg jaknajstaranniej.

Tymczasem niemieccy inżynierowie, kierujący robotami w kopalniach Towarzystwa v. Kramsty, wybrali tańszy sposób exploatacji, t. j. systemat rabunkowy, i skutkiem tego klęska dotknęła kopalnię „Ignacy“, znajdującą się na terytorium wsi Zagórze, w pobliżu Dąbrowy Górniczej.

Od dawniejszego już czasu tlił się gwałtownie miazg węglowy; dopiero jednakże w końcu Lipca górniczy, poczuwszy swąd w kopalni poczęli szukać przyczyny jego; znaleźli ją, lecz wówczas, zapobiedz katastrofie już nie zdołano.

W dniu 23 Października płomień wybuchnął przez jeden z szybów; w przeszłym jeszcze tygodniu cała górna część kopalni znajdowała się w płomieniach, z ośmiu zaś otworów podziemnych, jak z kraterów, buchał dym, płomień i popiół.

W celu ograniczenia pożaru, spowodowanego niedbałą gospodarką niemieckich inżynierów, zbudowano już cztery tamy. Przy budowaniu piątej zginęło 5 ludzi, tak, że dalszej roboty musiano zaniechać. Kolosalna siła rozprężliwości gazów niszczy w podobnych razach wszelkiego rodzaju zapory, szerząc dzieło zniszczenia w zatrważający sposób.

Straty dotychczas wynoszą parę kroć setki tysięcy rubli, a kilkuset robotników pozostało bez chleba.

\*

\*

\*

Z powodu pożaru kopalni przytaczamy także opis Busse'go, zamieszczony w *Rundschau*, odnośnie do zmian, zachodzących w węglu kamiennym, podobnych wielce do powolnego spalania się, które powszechnie określają mianem wietrzenia.

Otóż do pewnych granic łączy się tlen powietrza z wolnym wodorem węgla i w ten sposób utworzona woda wydziela się, a część węgla wietrzeje w postaci dwutlenku węgla. Doszedłszy do owej granicy, nowa ilość tlenu łączy się mechanicznie z węglem, skutkiem czego zmniejsza się w nim ilość wolnego wodoru i węgla a temsamem utracą on na wartości opałowej, zyskując na wadze skutkiem nadmiaru pochłoniętego tlenu, którego ilość wzrosnąć może do 4% pierwotnego ciężaru węgla. Im większą przedstawia powierzchnię węgla, tem większą ilość wchłonięć może tlenu, im zaś powierzchnia jest mniejszą, tem wietrzenie odbywa się powolniej. Im węgiel bardziej jest zbitym, tem wietrzeje wolniej, porowaty — bardzo szybko, najszybciej zaś — miazg węglowy.

\*

\*

\*

Związki żelaza z krzemem i glinem, które nazwano *ferrosilicium* i *ferroaluminium*, nabrały od pewnego czasu znaczenia w przemyśle hutniczym. Dodatek tego pierwszego do żelaza wydaje materiał bardzo trwały. Drugi również podnosi moc materiału, a odznacza się głównie tem, że odlew otrzymany jest bardzo zbitym i nie zawiera pęcherzy.

Znaną jest rzeczą, że w zwykłym surowcu, wskutek działania tlenu żelaza na węgiel, tworzy się tlenek węgla, który sprawia powstawanie pęcherzy w czasie ostygnięcia odlewu. W obecności zaś glinu tlenek żelaza odtlenia się na żelazo, przyczem tworzy się tlenek glinu, a tlenek węgla temsamem utworzyć się już nie może. Koniecznym jednakże warunkiem tego procesu jest zupełna suchość form, w których dokonywa się odlewania, wobec wilgoci bowiem glin powoduje rozkład wody t. j. wydzielenie się wodoru. Prócz tego zaś, że glin posiada własność odtleniania, zniża jeszcze jednocześnie punkt topliwości żelaza, albowiem ciało to, podobnie jak wszystkie inne tlenki, zmniejsza topliwość metalu. Tu mieści się także powód, że np. bronz staje się łatwiej topliwym przez dodanie niewielkiej ilości fosforu, który posiada własność odtleniania tlen-

ku miedzi. Przy większej zawartości węgla w żelazie (6%) zajść może odwrotny proces t. j. podobny dodatek glinu może spowodować podniesienie punktu topliwości, albowiem glin wówczas wydziela węgiel w postaci grafitu.

Odkrycie to, które podaje „Humboldt“, posiada w przemyśle doniosłe znaczenie.

\*

\*

\*

Już w roku 1838 zbierał G. Hermann statystyczne dane co do snów u ludzi dotkniętych ślepotą; opracował przedmiot ten szczegółowo i doszedł do przekonania, że ludzie, którzy utracili wzrok przed 5 albo nawet przed 7 rokiem życia, nie miewają snów posiadających łączność ze zmysłem wzroku. Według tego badacza także u głuchych miała następować jedynie wówczas niemota, gdy utracali słuch przed piątym rokiem życia.

W ostatnich czasach D-r Jastrow w pracy swej: „Sny u ślepych“ (*The dreams of the blinds*, New-Princeton Rewiew, Styczeń 1888) podjął przedmiot ten zewszecchniar zajmujący, i ogłasza w niej obserwacje dokonywane na 100 osobnikach. Sądzi mianowicie, że ślepi znacznie rzadziej miewają sny, niż ludzie posiadający wzrok, co do płci zaś, to kobiety częściej śnią, niż mężczyźni. Sny ociemniałych są ograniczone i mają związek przeważnie z wrażeniami odbieranymi za pośrednictwem słuchu i wreszcie, według Jastrowa, częściej wydarzają się u ludzi młodych niż u będących w starszym wieku.

Zdaje się nie podlegać wątpliwości, że osoby ociemniałe zachowują doskonale w pamięci wrażenia wzrokowe, jakie odebrały w bardzo młodym wieku.

Dr. J. Starkman.

## U CHIŃCZYKÓW.

(z dzieła „Les plaisirs en Chine“ p. Teheng-Ki-Tong)

(Dokończenie).

Gdy stopnie zostaną już przyznane przez najwyższą władzę, urzędnicy administracyjni przybywają z wielką pompą, niosąc nominacją laureatów wydrukowaną na olbrzymich, czerwonych arkuszach papieru, które przyklepiają do drzwi mieszkania wybrańca losu. Puszczają race w powietrze i palą świece i dzięki czynnemu kadzidła pod niebem i przed tablicą przodków, którzy nigdy nie bywają pominięci w żadnej rodzinnej uroczystości. Od świtu domy umajone zielenią i przystrojone literami stoją otworem dla gości, którzy przychodzą składać powinszowania rodzinie maturzystów. Oni sami, wspaniale przybrani w jedwabne, złotem haftowane szaty, których kolor niebieski, fiołkowy lub granatowy oznacza hierarchią otrzymanych stopni, oddają wizyty w palankinie, poprzedzonym chorążymi którzy niosą szkarłatne sztandary, zatknięte na bambusowej trzcinie. Idąc w ślad za nimi, orkiestra wygrywa tryumfalne hymny. Kobiety ciskają kwiaty pod stopy młodych studentów, a zapał ogólny udziela się ulicznym tłumom. Uzyskane stopnie naukowe otwierają młodzieńcowi drogę do publicznej kariery, zapewniając mu w każdym zawodzie świetną przyszłość. Zewsząd sypią się propozycje bogatych związków, a uboga częstokroć rodzina studenta zostaje od razu wyniesioną do godności i dostatków. Niedziw, że wobec takich przywilejów, jakie daje nauka, prawa obowiązuje są conajmniej zbytecznymi, bo sama ambicja popycha młodzież w tym kierunku.

W kraju tak żądnym oświaty rozrywki umysłowe bywają na porządku dziennym. Popisy rymotwórcze odbywają się też często, bądź pry-

watnie, bądź publicznie. Ponieważ bowiem w Chinach nie zaprowadzono dotąd, ani odczytów, ani politycznych rozpraw, literatura zatem stanowi jedyne pole dla swobodnego wypowiedzania myśli. Jeden z vice-królów Nankinu korzystał z każdej chwili wolnej od zajęć administracyjnych, aby zgromadzać w swym pałacu urzędników, różnych dykasteryi i wspólnie z nimi układać wiersze.

Literatura w Chinach wzięła górę nawet nad sztuką, jakkolwiek i ta ma swoich przedstawicieli w kraju. Prawidła perspektywy są zupełnie nieznanymi artystom; utwory ich jednakże nacechowane są bujną wyobraźnią, lubującą się w alegoriach i poetycznych przenośniach. Wszystko, co technicznie nadzwyczajnością, co zdumiewa i przeraża, podoba się Chińczykom. Dowodem tego powodzenie, jakim cieszą się kuglarze, którzy, łącząc do czarów sztukę akrobatyczną, wzywani bywają do popisów przed każdym większym zebraniem. Zręczność ich przechodzi wszelkie wyobrażenia. Zazwyczaj zaczynają oni od sztuk łamanych, poczem akrobata odrazu przemienia się w czaroksiężnika: zrywa z siebie odzienie, rzuca je na ziemię i zapytuje widzów: jaki przedmiot życzą sobie zobaczyć? Następnie zaczyna strzepywać palce w powietrzu, robi dziwaczne gesty rękoma, szepcze zakłętą jakieś słowami do porzuconej na ziemi tuniki swojej, magnetyzuje ją; i naraz szata unosi się z wolna w górę jakby zdmuchnięta tajemniczym tchnieniem, rozpina się jak balon, płynie coraz wyżej i wyżej, a zpod niej mistrz - magik wyjmuje bądź kwiaty, bądź półmiski z dymiącymi potrawami, bądź dzban pełen wody, w którym pływają rybki. Niejednokrotnie zdarza się widzieć magików, którzy, zasadiwszy ziarno w ziemi, siłą magnetyczną wywołują sztuczny i doraźny rozwój rośliny: rośnie ona, rozkwita i wydaje owoc w oczach wszystkich widzów. Popisy brzuchomówców cieszą się także niemałym powodzeniem. Oto przykład do jakiej wprawy mistrzowie dochodzą w tej sztuce:

Na pewnym przedstawieniu w Pekinie brzuchomówca zasiadł na estradzie za parawanem, za którym znajdowało się tylko jedno krzesło, stół, wachlarz i linia. Naraz usłyszano szczerkanie psa, potem głos kobiety budzącej ze snu chrapiącego męża. Płacz niemowlęcia przerwał rozmowę małżonków; poczem matka wzięła do piersi dziecko, które ssąc nie przestawało jednak płakać. Matka, tuląc je do siebie, przewijała pieluski, gdy naraz drugie, starsze dziecko, zbudzone hałasem, zaczęło grymasić i przewracać się w sąsiedniej kołysce. Ojciec burczy chłopca, potem wszyscy zasypiają znowu. Mąż chrapie, żona oddycha swobodnie; raptem słycać szmer myszy wspinającej się na stół. Nagle coś spada na ziemię, to lampa nocna, którą mysz przewróciła. Kobieta kaszle przez sen. Wtem rozlegają się głośne okrzyki: Pożar! pożar! Światło spadającej lampki zapaliło firanki. Ojciec i matka, zrywając się z łóżek, zaczynają krzyczeć; dzieci płaczą żałośnie. Tłum ludzi zaczyna się zbiegać zewsząd, krzykiem i wrzaskiem napełniając ulicę. Psy wyją, mury zapadają się z głuchym łoskotem, petardy strzelają w powietrze. Straż ogniowa przybywa na miejsce; strumienie wody tryskają w sam środek syczących groźnie płomieni. Wszystkie te dźwięki, hałasy, szmery i wybuchy, naśladowane były tak wiernie i dobitnie, że złudzenie było zupełne. Widzowie, sądząc, że gmach istotnie się pali, poczęli się zrywać z miejsc i uciekać ku drzwiom, gdy naraz jedno stuknięcie linii o stół przywróciło zupełną ciszę. Jedynym sprawcą całego popłochu był brzuchomówca, którego zastano spokojnie siedzącego na krześle, za parawanem.

Wiele osób trudni się także wywoływaniem duchów i wróceniem przyszłości. Gusła i czary, praktykowane w takich razach przez kapłanów, przypominają bardzo zabobonne zażegnania będące w zwyczajach naszego ludu. Duch wezwany zaklęciem wstępuje jakoby w człowieka pogrążonego w śnie hipnotycznym i przez usta jego głosi prawdy nieznanie światu, przepowiada przyszłość i wskazuje środki lecznicze na różne dolegliwości. Zapomocą drewnianka, zbliżonego kształtem do używanych u nas ekierok, kreśli on na piasku odpowiedzi na zadawane mu

pytania, pisze wiersze, zdania, akrostychy i swobodnie porozumiewa się z całym zgromadzeniem.

Frenologia i chiromancya nigdzie nie są tak rozpowszechnione, jak w Chinach. Wszystkie kreski, znaki, linie na twarzy, rękach i ciele, mają tam odrębne swoje znaczenie i służą do różnych kombinacji i obliczeń. Gdy Chińczyk ciekawy swej przyszłości udaje się do wróżbity, ten przygląda się nasamprzód bacznie jego rysom, dłoniom i całemu korpusowi, jak lekarz chcący gruntownie zbadać organizm pacjenta; potem dopiero wydaje swój wyrok. Kobiety, równie jak mężczyźni, odwołują się często do tych proroków, bo Chińska zarówno jest ciekawą, jak i Europejka i lubuje się w tem, co tajemnicze i co technicznie nadprzyrodzoną siłą.

Teatra w Chinach są instytucją czysto - prywatną. Niema tam sceny subwencyonowanej przez państwo, ale zato każdy z zamożniejszych mieszkańców posiada w domu swój własny teatr. Na południu Chin istnieją dla publiczności teatry, gdzie dają przedstawienia w oznaczone dni i gdzie widzowie mają tę dogodność, że mogą obiadować w łóżach lub na balkonie. Wszędzieindziej istnieją tylko wędrownie trupy aktorów, którzy występują na zamówienie w świątyniach, restauracjach i domach prywatnych.

W każdej świątyni jest urządzona scena. W dni wielkich uroczystości sprowadzają aktorów, organizatorowie zabawy zasiadają po obu stronach estrady, a publiczność, dopuszczona bezpłatnie na widowisko, grupuje się dokoła. Jeden z aktorów, przebrany za kobietę, obchodzi ławki zajęte przez organizatorów, którym przedstawia do wyboru tytuły sztuk, spisane na tabliczce z kości słoniowej. W dzień narodzin Cesarza przedstawienia sceniczne tego rodzaju odbywają się na ulicy, przed domem każdego dygnitarza państwowego. Jest także w zwyczajach aktorów: popisować się w restauracjach podczas pory obiadowej. Zdarza się nieraz przytem, iż bohaterowie zstępują ze sceny, aby nalewać wino gościom. Jeżeli sztuka jest źle odegrana, widzowie zachowują głuche milczenie. Nikt nie pozwala sobie żadnych krytycznych uwag, hałasów, a tem mniej gwizdania i stukania krzesłami. Milczenie starczy za naganę, jest ono wymownem samo przez się. Zato, jeżeli widzowie są zadowoleni, jednogłośnie wykrzykują: *Lao! lao! co znaczy: brawo! dobrze!* Orkiestra mieści się zawsze za sceną i gra bez nut, tak, jak aktorowie grają z pamięci, bez pomocy suflera.

Oprócz teatrów istnieją jeszcze marynetki poruszane zapomocą sznurków, któremi kierują ludzie ukryci pod sufitem. Walki zwierząt, lecz nie tak krwawe, jak te, które odbywały się niegdyś w Rzymie, a po dziś dzień w Hiszpanii, cieszą się także niemałym powodzeniem u miejscowej ludności, z tą tylko różnicą, że tu nie występują na arenę rozjuszone byki, ani pantery, tylko skromne, niepozorne polne świerszeczki, starannie zbierane z łąk, hodowane i karmione ryżem i sałatą, w małej bambusowej klatce, potem wypuszczane na siebie a walczące z zaciętością, której niktby się nie domyślił w tak drobnych owadach.

Reżyser wypróbuje zawczasu siły walczących i podnieca świerszeczki do boju, drażniąc im łebek włosem. Po odbytych wielokrotnych próbach najsilniejsze i najzłośliwsze osobniki bywają wyszczególnione pomiędzy innych i mają zaszczyt figurowania na wielkim, publicznym popisie, który tyle zaciekawienia i namiętności wzniesca pomiędzy widzami, co konne wyścigi w Europie.

Żadne zebranie w Chinach, bądź publiczne bądź prywatne, nie obędzie się bez wina, a wino bez poezji. Pijaństwo jednakże nie jest rozpowszechnione i liczy się do rzadkich wypadków. Lud nie pije prawie wcale wina, ani alkoholu. Ulubionym napojem Chińczyków jest herbata. Odkiedy zaczęto ją uprawiać w kraju, przeszło w zwyczaj: część pierwszego zbioru posyłać w darze cesarzowi, który ze swej strony obdźwiał nią swoich urzędników. Zamiast kawiarni, zaprowadzonych w Europie, w Chinach napotyka się co krok herbaciarnie, gdzie każdy wstępuje, aby się posilić, spocząć i ugasić pragnienie.

Gdy tylko gość wchodzi na próg domu, zaraz częstują go herbatą. Na ulicach nawet, podczas wielkich upałów letnich, dobroczynne osoby każą ustawiać wielkie kadzie, z których każdy dowolnie może czerpać. Zamożne klasy używają zwykle zielonej herbaty, to jest młodych pędów krzewu i ledwo nawpół rozwiniętych listków, które się suszy na słońcu. Czarna herbata — są to dojrzałe już liście, suszone przy ogniu. Oto na czem jedynie polega różnica obu gatunków. W żadnym wypadku nie nadają im sztucznej barwy. Dobroć herbaty zależy od gruntu, na którym jest uprawiana. Najlepszy gatunek pochodzi z plantacji klasztoru Ou-i, w prowincyi Fu-Kien. Księża nie sprzedają swoich zbiorów, ale częstują ich wywarem dystygowanych gości zwiedzających ich ustronie. W małą filiżankę z przykrywką wrzucają dziesięć do dwunastu drobnych listeczków, które zalewają wrzącym ukropem wody zacierpniętej z górskiego źródła. Potem spuszcza się pokrywkę, a po kilku minutach zapach aromatyczny rozchodzi się po pokoju. Na dwód, jak silnym jest ten napój i jak energiczne jego działanie, dość powiedzieć, że parę ziarenek ryżu, wrzuconych na próbę do filiżanki, rozpuszcza się natychmiast. Herbata w Chinach uchodzi za dobrą wtedy tylko, gdy ją się zaparza wodą deszczową lub źródlaną, prędko zagotowaną w glinianym, niepolerowanym imbryku. Powinna ona być ledwo zabarwiona, — koloru słomy, i należy ją pić bez cukru ani żadnej przymieszki. Wygotowanymi liśćmi, wypychają zwykle poduszki i materace.

Ogrodnictwo w Chinach posuniętem jest do prawdziwego aryzmu. Podlewanie, szczepienie, umiejętne krzyżowanie gatunków, uprawa gruntu, nadawanie roślinom najdziwniejszych kształtów zwierząt, smoków i potworów, stanowi dla krajowców rozrywkę, której oddają się z prawdziwą namiętnością. Na każdej niemal piędzi ziemi Chińczyk sadi bambusy i kwiaty, w których lubuje się nadewszystko, wcielając w nie wiele poetycznych marzeń swojej wyobraźni. Poczucie piękna natury jest wogóle głęboko rozwinięte u Chińczyków i wpływa na wyrobienie w nich charakteru cichego, łagodnego i marzycielskiego. Nie przeszkadza im to wszakże gustować w sporcie wszelkiego rodzaju: w myślistwie i rybołówstwie, i w rozrywkach towarzyskich jak np. gra w szachy, w loteryjkę i t. p. Nigdy jednakże nie posuwają oni do ostateczności chęci używania życia, a umysł ich spokojny, kontemplacyjny, lubuje się w badaniu natury i rozpamiętywaniu wyższych prawd, jak o tem świadczy urywek z pamiętnika jednego z współczesnych filozofów, który pozwalamy sobie tu przytoczyć:

— „Zamiast błyszczeć chwilowo, a potem wiecznie pokutować za próżność moją, wolę ją, w chwilach wolnych od pracy, schronić się do mego zacisza i, zapaliwszy na stole kadzielnice z wonnościami, trwać na rozmowie z mędrkami starożytnymi, których duchy za pośrednictwem ksiąg wchodzą w związek zemną. W obcowaniu tem znajdują stokroć słodsze rozkosze, niż w czczych rozrywkach i zabiegach świata. Wszystko, co oczy widziały, i co serce odczuło a umysł zrozumiał, stoi zawarte w tych księgach. Te karty czarodziejskie stawiają mi przed oczyma piękność kobiet, barwę kwiatów i jasność słoneczną; dźwiękiem niebiańskiej harmonii rozwesalają one słuch mój. Na cóż więc zda się poszarym pyle bitych dróg świata gonić za czemś niedoścignionem, gdy tu mam wszystko i odczuwam wszystko... czego duch mój pożąda?“

## Z bieżącej chwili.

— Petersburgskie Towarzystwo Geograficzne zarządziło rozkopywanie starych mogił, gęsto rozsianych wśród stepów minusińskich w Syberii

Wschodniej. Archeologowie, działający z polecenia tegoż Towarzystwa, odkryli w tych mogiłach bogate zabytki przeszłości, świadczące o życiu osiadłego tu ludu w czasie bardzo odległej starożytności, a który używał początkowo narzędzi kamiennych, następnie bronzowych. Zbiory przedmiotów, odnalezionych w głębi rozkopanych kurhanów, wytworzyły muzeum, przepelnione kamiennymi strzałami, bronzowymi sztyletami, wazami rozmaitych kształtów, z miedzi, srebra i brązu. Znaleziono przytem w mogiłach gipsowe maski, odtwarzające rysy oblicza ludzi, nie mongolskiego, raczej aryjskiego szczepu.

— Warszawska kassa oszczędności, mieszcząca się przy magistracie, posiadała z początkiem bieżącego miesiąca 1.959.710 rs. należących do 43.725 osób.

— Oświetlenie Warszawy elektrycznością jest od lat kilku przedmiotem zajęcia wielu osób. Projekt przedstawiony przez p. Wasilewskiego, elektrotechnika wymaga 360.000 rs. kapitału zakładowego. Projekt ten został opracowany na żądanie towarzystwa berlińskiego, które daje  $\frac{2}{3}$  tej summy i osoby zajmujące się w mieście naszym tą sprawą, zebrały się na naradę, która przyniosła zapisy na 80.000 rs. Szkoda, aby potrzebowały tu wpłynąć kapitały obce, pobierające potem procenta, co będzie znowu wyprowadzaniem ciąglem grosza naszego za granicę. Według obliczeń interes ten ma się amortyzować siedmiu procentami i przynosić obok tego 16% dywidendy.

— Pogrzeb ś. p. Stanisława Hiszpańskiego zgromadził bardzo liczne grono osób wszelkich warstw społeczeństwa, ze starszego i młodszego pokolenia, które odprowadziło z żalem i uszanowaniem na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki tego obywatela naszego miasta, niegdyś starszego zgromadzenia szewców warszawskich — szanowanego i kochanego przez ludzi klas wszystkich. Trumnę, na której złożono trzy wieńce, poniesiono na barkach aż na sam cmentarz powązkowski od kościoła po-dominikańskiego; orszak żałobny otwierał szereg sierot zakładu imienia Jachowicza, gdzie zmarły, dopóki tylko sił mu starczyło uczył rzemiosła swego. Kanonik Wierzbicki, opiekun wspomnianego zakładu sierot, prowadził kondukt

— Bardzo szlachetny, obywatelskim uczuciem natchniony projekt podał w „Niwie“ p. Donimirski: zorganizowania powrotu biednych emigrantów z Bremy. Powrót ten przedstawiałby korzyść, nie tylko uratowania owych nieszczęśliwych, którzy dawczy się złapać niepoczciwej agitacji, poznali rychło jakiej intrygi stali się ofiarami, ale otworzyłyby się tym sposobem oczy innym, obalamuconych biedaków. Zbiorowa działalność osób dobrej woli, przy pomocy rządu, mogłaby zażegnać tym sposobem ruch emigracyjny. Projektodawca zwraca się do obywateli ziemskich, aby przyłożyli się szczerze do działania w tym kierunku. Strata robotnika zuboży ich, strata tyłu ludzi zuboży kraj.

— W obec projektu urządzenia w roku przyszłym wystawy ogrodniczej w Warszawie, jeżeli potrzebna tu subwencja zostanie otrzymana, wybranym będzie wkrótce komitet wystawowy, a sekcje Towarzystwa zajmą się ułożeniem specjalnych konkursów w różnych działach: owocowym, warzywniczym, kwiatowym. Sekcja przyrodnicza i teorii ogrodnictwa ogłoszą konkurs czystonaukowy, doniosłego znaczenia dla rozwoju wiedzy przyrodniczej.

— Projekt podziemnej kolei, wprawianej w ruch zapomocą elektryczności, został opracowany w Wiedniu i przedstawiony rządowi; przecież wykonanie go natrafia na trudności, między którymi najważniejszą jest ta, że szczególnie

w środkowej części miasta piwnice idą zbyt głęboko.

— W Krakowie powstaje nowe czasopismo, poświęcone szczególnie sztuce. Naczelnym redaktorem ma być znany czytelnikom naszym pisarz, Sewer Maciejowski.

— Modrzejowska rozpoczęła we Lwowie szereg występów gościnnych jako Adryanna Lecouvreur. Sztuki, w których gra następnie, są: „Walka kobiet“ Marya Stuart (Szyllera), „Dallila“ „Makbet“, „Dama kameliowa“ „Barbara Radziwiłłówna“, „Odetta“, „Wiele hałasu o nic“, „Balladyna“. Znakomita ta artystka była powitaną na dworcu kolei przez dyrektora teatru, artystów i grono wielbicieli jej talentu.

— Rada miejska Lwowa uchwaliła zakupienie na rzecz teatru poznańskiego 5 akcyi po 200 marek.

— Towarzystwo Historyczne odbyło w gmachu uniwersytetu lwowskiego doroczne zgromadzenie. Składka członka Towarzystwa jest 4 zł. reńskich rocznie, a za to otrzymuje się bezpłatnie tom cały „Kwartalnika Historycznego“ i także tom: „Materiałów dziejowych“. Zamiarem Towarzystwa jest zorganizowanie na prowincyi koleż naukowych.

— Kazimierz Pochwalski otrzymał zamówienie na portret ks. Eustachego Sanguszki, przeznaczony do Galeryi marszałków krajowych w gmachu sejmowym.

— Zakład dobroczynny, noszący nazwę *Schronisko Domsa* powstał niedawno we Lwowie, ufundowany groszem ofiarnym p. Roberta Doms'a, cudzoziemca, który, przybywszy kilkadziesiąt lat temu w strony tamte, dorobił się jako przemysłowiec znacznego majątku przez usilną i umiejętną pracę, a choć jest ojcem kilkorga dzieci, ofiarował sto czterdzieści tysięcy zł. reńskich na wzniesienie dobroczynnego zakładu, który dałby przyzwoite pomieszczenie ludziom uczciwym a wiekowym rozmaitych zawodów: przemysłowcom, kupcom, literatom. Warunkiem jedynie ograniczającym tu przyjęcie jest: przeszłość nieskazitelna i wyznanie chrześcijańskie.

Zakup domu Schronienia, dwupiętrowej kamienicy przy ulicy S-tej Teresy, wśród ogrodów więc w położeniu zdrowym, kosztował, wraz z urządzeniem wewnętrznym, 33.000 zł. reńskich; pozostałość, przedstawiająca 107.000 zł.; złożona w papierach procentowych, pięć od sta, mieści się w magistracie i służy na utrzymanie zakładu. Każda przyjętych tu osób ma osobny, przyzwoicie urządzone pokój, stół, światło opał, pomoc lekarską, a gdy śmierć zamknie oczy, wyznaczoną jest na pogrzeb sumka 60 zł. reń. Kuratoryą zakładu składają: burmistrz miasta i członkowie rady miejskiej, izby handlowej, oraz reprezentanci kapituły rzymsko-i grecko-katolickiej, pastor protestancki i professor techniki.

— Deputacja koła artystyczno-literackiego ofiarowała prof. Liskemu dyplom honorowy. Dzieścię lat temu dał on pierwszy początek założeniu koła i mimo prac swoich historyka i profesora, brał czynny udział w rozwoju tej instytucji.

— Kommissya literacka, ustanowiona we Lwowie w myśl fundacyi Franciszka Kochmanna „dla premiiowania literatów“, postanowiła przyznać premium 1000 zł. reń. dr. Janowi Franke za dzieła: „Mechanika teoretyczna“ i „Jan Zbrozek, akademik krakowski“. Premium 500 zł. przyznano prof. J. Tretjakowi za dzieła: „Mickiewicz w Wilnie i Kownie“, „Ślady wpływu Mickiewicza na Puszkina“, „Wojna Choćimska“. Kommissya tworzyło pod przewodnictwem p. Oktawa Pietruskiego, obok kuratorów fundacyi, pp. dr. Gustawa Roszkowskiego i dr. Zygmunta Samolewicz, osób pięć: pp. dr. Benedykt Dybowski, dr. Lu-

dwik Kubala, dr. Bronisław Radziszewski, Zygmunt Sawczyński, dr. Władysław Zajączkowski.

— Z południowej Francji najsmutniejsze dochodzą nas wieści. Gwałtowne powodzie Rodanu i jego dopływów straszliwą zadały klęskę wielu okolicom. Ze stanu pomyślności i dobrobytu nagle przechodzą one do ostatniej nędzy. Nie tylko strata dobytku — ale niedostatek, głód i choroby długim się ciągną korowodem; a pomimo bogactwa i uczynności powszechnej, trudno jest zaradzić w nagłej a tak ogromnej klęsce... Patrzymy więc na to ze współczuciem i obawą.

— Chatrian jeden z lepszych pisarzy francuzkich zakończył życie po długiej i ciężkiej chorobie d. 3-go Września w Villemonble pod Paryżem Sparaliżowany od lat kilku, pozostał obcym wszelkiej pracy literackiej; a że jego spółnik, a powiedzmy główny czynnik, w tej całości literackiej znanej pod tytułem: „Powieści narodowych“ (*Romans Nationaux*) pozostał w rodzimej Alzacyi, pewne więc osobistości tutejsze, korzystając z chorobliwego usposobienia nieboszczyka Chatriana, popchnęły go na drogę rewindykacji literackiej i poróżniły do tego stopnia z Erekmanem, iż przyszło do skandalicznego procesu, który się zakończył, jak można było przewidzieć, przegraną biednego Chatriana. Były to zapewne gorzkie chwile ostatnich lat życia tego człowieka, który uległ poduszczeniom ludzi zazdrosnych i niespokojnych, mających tylko jeden cel: wyeksploatowanie kieszeni nieszczęśliwego paralityka. Umarł w 64 roku życia.

## M Y Ś L I

W ciągłej przykłady i słowa postaci  
Rozdawaj siebie samego twej braci  
Mnóż się ty jeden przez czynów tysiące,  
A będzie z ciebie jednego — tysiące.

Krasiński.

Najszlachetniejszy kamień jest ten, który kraje  
Wszystkie inne, a siebie zrysować nie daje:  
Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie  
Raczej się da skaleczyć, niż samo zadraśnić.

Asnyka przekład z Rückerta.

Gdy znajdziesz cierń w miłości, kochaj jeszcze  
[wierniej:  
Że masz przy sobie róże — poznajesz to z cierni.

Idem.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 2-gi i 3-ci powieści pod tytułem: **Bogata panna** przez Pawła Mercieux, przekład z francuzkiego.

**TREŚĆ:** Jubileusz poety. — Hrywda. Powieść przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Z działu przyrody. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć nukowych, przez Dr. Józefa Starkmana. — U Chińczyków przez Tcheng-Ki-Tong. (dok.) — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 2-gi i 3-ci powieści, pod tytułem: **Bogata Panna**, przez Pawła Mercieux Przekład z francuzkiego. — Przegląd mód. — 34 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**